

Dziecko buszu

Leżeliśmy obok siebie, starając się uspokoić oddechy. Serce biło mi jak oszalałe. Strużki potu leniwie biegły wzdłuż mojego ciała, łącząc się w okolicach bioder. Podniosłem się na łokciu i złożyłem pocałunek na piersi ukochanej.

– Jak było?

– Jak zawsze. Fantastycznie. Jesteś wspaniałym kochankiem – odpowiedziała.

Lubiłem, gdy tak mówiła. Moja męska duma unosiła się wtedy na wyżyny próżności. Położyłem głowę na brzuchu kobiety i cicho powiedziałem:

– Biegnijcie szybko do mamusi, wierzę w was. Tylko dobrze się sprawcie.

– Co tam szepczesz, ty wariacie?

– Nic. Takie męskie sprawy. Idę do łazienki.

Gorący prysznic przyjemnie laskotał ciało. Resztki piany spływały swobodnie do brodzika i znikwały w kratce ściekowej. Może dzisiaj w końcu się uda – pomyślałem.

Byłem dopiero trzydziestolatkiem. Kilka lat temu poznałem wspaniałą dziewczynę. Magdę. To była miłość od pierwszego wejścia. Wzięliśmy ślub. Byliśmy szczęśliwi. Z czasem zaczęliśmy myśleć o dziecku. Robiliśmy wszystko, żeby zostać rodzicami. Pomimo to Magda nie mogła zajść w ciążę. Wyniki badań medycznych były prawidłowe, więc lekarze tylko rozkładali ręce. Próbowaliśmy wciąż dalej i dalej.

Zakręciłem zawór ciepłej wody i sięgnąłem po ręcznik. Musiałem się spieszyć. Za godzinę miałem być w pracy.



Zmęczony, z trudem otwierałem drzwi mieszkania. Marzyłem tylko o filiżance gorącej kawy i miękkim fotelu. W przedpokoju usłyszałem znajomy głos przyjaciela. Z wymuszonym uśmiechem wszedłem do dużego pokoju.

– O! Paweł! Już jesteś! – wykrzyknęła Magda. – W przychodni spotkałam Jerzego i zaprosiłam go na kawę.

– Tak? To świetnie – powiedziałem. – Co słyhać w lekarskim świecie?

– Bez zmian. Dużo pracy, mało płacy.

– Ty chyba nie musisz narzekać – stwierdziłem złośliwie, przysiadając na boku fotela Magdy.

– Masz już wyniki testu? – szepnąłem żonie do ucha.

– Tak. Wynik negatywny – odszepnęła smutno.

– Co macie takie smutne miny? – zapytał Jerzy. – Jeszcze nie wszystko stracone.

Mój zdziwiony wzrok sprowokował następną wypowiedź przyjaciela.

– Stary! Magda mi wszystko powiedziała. Przejrzałem też wszystkie poprzednie wyniki badań. Wszystko w normie.

– Chyba się nie gniewasz, misiu? – żona przytuliła się do mojego boku.

– Tak więc – Jerzy dalej ciągnął swój wykład – jest to typowy przykład bezpłodności idiopatycznej.

– Idio... co? – spytałem. – Chyba nas nie obrażasz?

– Idiopatycznej, czyli nieznanego pochodzenia.

– Czy to jest uleczalne?

– Obecnie nie. Chociaż... – zastanowił się – kiedy byłem jako wolontariusz na stażu w Kongo, spotkałem misjonarza, salezjanina. Wspominał on, że w niedostępnych rejonach tego kraju nadal praktykowana jest czarna magia. Podobno szamani plemiona Bantu potrafią leczyć ludzi. Leczyć choroby. W tym także bezpłodność.

– I ty w to wierzysz? – kpiąco zapytała Magda.

– Są przypadki, kiedy nasza medycyna jest bezsilna. Człowiek to nie tylko ciało, ale i dusza, o czym zupełnie zapominamy. Cho-

roba to stan braku równowagi pomiędzy naszą cielesnością a duchowością. Ten misjonarz był specjalistą od duszy i zapewne nie żartował. Tak, wierzę w to.

– Ciekawe – rzuciłem po dłuższej chwili namysłu – naprawdę ciekawe.

– Może powinniście spróbować? – usłyszałem nieoczekiwanie głos Jerzego.

Spojrzałem na niego pytająco. Mówił poważnie. Jego zmarszczone czoło wskazywało na podwyższony stan pracy umysłu.

– Mam telefon do tego misjonarza – mówił z namaszczeniem – jeszcze dzisiaj mogę się z nim skontaktować. Myślę, że wam pomoże.

– Mówisz poważnie? – zapytałem.

– Może warto spróbować. W najgorszym razie będziecie mieli piękne wakacje.

– Ale mamy XXI wiek, a ty, lekarz, wierzysz w zabobony.

– Paweł, pojedziemy – usłyszałem nagle stanowczy głos żony. Magda odwróciła się i spojrzała prosto w oczy.

– Jeśli na świecie jest ktoś, kto nam może pomóc, to nie możemy zmarnować takiej szansy.

– Ale...

– Tu chodzi o nasze dziecko.

Nigdy nie widziałem w twarzy mojej żony takiej determinacji. Nie mogłem teraz jej zawieść. To była przecież szansa dla nas obojga.

– Dobrze, pojedziemy – odparłem przyciśnięty do muru.

– Wspaniale – zawołał Jerzy – zaraz wszystkim się zajmę. Jestem z was dumny.

– Tak. Nie mamy czasu do stracenia – powiedziałem sucho i spojrzałem na Magdę. Wielkie jak perły łzy powoli spływały jej po policzkach.



Po blisko czterogodzinnym locie samolot linii Air France planowo wylądował na lotnisku w Kinszasie, stolicy Kongo. Nie byliśmy

znużeni. Adrenalina we krwi skutecznie blokowała zmęczenie i dawała sił.

– Dziękujemy za skorzystanie z naszych linii lotniczych i życzymy miłego dnia – powiedziała z szerokim uśmiechem francuska stewardessa. Afryka, tak jak myślałem, przywitała nas żarem rozpalonego słońca. Fala gorącego powietrza momentalnie spowodowała podwojenie ilości wydzielanego potu. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i podałem żonie kapelusz.

– Jak się nazywa ten misjonarz? – zapytała.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem notes.

– Ojciec Joseph Corde – przeczytałem. – Ma na nas czekać o dziesiątej w hotelu.

– To mamy jeszcze trzy godziny – stwierdziła Magda. – Zdążymy zobaczyć miasto.

Zatopiliśmy się w hałaśliwy i kolorowy tłum tubylców. Wąskie uliczki prawie w całości zapchane były straganami, na których można było kupić wszystko. Od owoców o dziwnych kształtach, poprzez ręcznie rzeźbione maski, po różnobarwne tuniki, tak chętnie noszone przez autochtonów.

– Paweł, popatrz – żona pociągnęła mnie za rękę.

Na skrawku materiału siedziała młoda Murzynka, trzymając noworodka przy piersi. Czekoladowy malec łapczywie starał się pozyskiwać jak najwięcej pokarmu od matki, nerwowo machając przy tym rączkami.

– Wszystko będzie dobrze – przytuliłem Magdę. Dobrze wiedziałem, co czuje w tym momencie. – Będzie dobrze – powtórzyłem.



Właśnie wychodziłem spod prysznica, gdy usłyszałem pukanie. Narzuciłem na siebie ledwo co kupioną tunikę i otworzyłem drzwi. Przede mną stał potężny, brodaty mężczyzna, ubrany w przepocopy podkoszulek, zielone, krótkie spodnie i wykoślawione sandały. Długie, siwiejące, spięte w kucyk włosy określały jego wiek na oko-

ło pięćdziesiąt lat. Tylko ciepłe spojrzenie i duży, drewniany krzyż zawieszony na szyi wzbudzały zaufanie.

– Jestem ojciec Joseph – przedstawił się, widząc moją lekko zaskoczoną minę. Odruchowo spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina siedemnasta.

– Witam. Jestem Paweł. Proszę, niech ojciec wejdzie do środka – wykonałem zapraszający gest.

– Mów mi Joseph. Wszyscy tak mnie nazywają.

– Oczywiście. To moja żona, Magda – dokonałem dalszej prezentacji.

– Pewnie się dziwicie, że tak wyglądam. Pracuję w Kongo już dwadzieścia dwa lata. Porzuciłem wszelkie konwenanse. Mojego Boga mam w sercu. Nie muszę umartwiać się dodatkowo, nosząc długie ubrania. A tak à propos, poczęstujecie mnie szklanką wody? Jechałem do was prawie cały dzień.

– Naturalnie, proszę – Magda otworzyła butelkę wody mineralnej.

– Tak. Bąbelki. Cywilizacja – powiedział po kilku łykach Joseph – trochę brakowało mi tego.

Nagle w oknie pokazała się czarna twarz człowieka, który krzyknął coś w niezrozumiałym języku. Zerwałem się na równe nogi i zasłoniłem żonę.

– Spokojnie, to tylko Mobasa. Mój uczeń i przewodnik. Zna około dwudziestu dialektów suahili. Będzie bardzo pomocny w naszej wyprawie. A więc jutro o piątej rano wyruszamy.

– Tak wcześniej? – z nieudawanym zaskoczeniem zapytała Magda.

– Czeka nas cały dzień drogi. I tak macie szczęście, bo większą część trasy pokonamy łodzią. Musimy dotrzeć do Bantu przed nocą. W ciemności żeglowanie na rzece jest niebezpieczne.

– Czy ojciec, to znaczy, Joseph, myślisz, że czarownik Bantu nam pomoże? – zapytałem szczerze.

Po kilku minutach ciszy otrzymałem odpowiedź.

– Nie pochwalam tego, co chcecie zrobić. Jestem katolickim duchownym, a Kościół nie uznaje zabobonów. Ale znam ludzi Bantu

od lat i widziałem rzeczy, których nawet dzisiaj nie potrafię wytłumaczyć. Pomogę wam. Ścieżki Pana są niezbadane.

– A więc jest nadzieja? – cicho odezwała się Magda.

– Spakujcie swoje rzeczy. Jutro Mobasa zabierze je do samochodu. Wyruszamy o piątej rano.

Kiwnięcie naszych głów przypieczętowało zawartą umowę.



Czerwony kurz zdawał się wszechobecny. Jediną ochroną przed nim była podwójnie złożona chusta naciągnięta na nos i usta. Wyśluzony jeep z wyraźnym wysiłkiem pokonywał kolejne połacie buszu. Jedinym urozmaiceniem krajobrazu były pojawiające się i znikające stada antylop, które towarzyszyły nam od początku drogi. Siedziałem z Magdą w tyle samochodu, otoczony stosem tobołków. Joseph w milczeniu kurczowo trzymał kierownicę, od czasu do czasu ruszając galką zmiany biegów. Natomiast Mobasa rozglądał się gorączkowo, co chwila przykładając lornetkę do oczu.

– Simba! Simba! – zawołał nagle nasz czarny przyjaciel, wskazując palcem przed siebie.

– Co on powiedział? – spytała Magda.

– Że pod drzewem leży lew. To w języku suahili – beznamiętnie wyjaśnił duchowny. – Za godzinę dojedziemy do rzeki. Tam przesiądziemy się na łódź.

– Tak. Woda. Nareszcie się wykąpię i zmyję z siebie ten kurz – podekscytowała się moja żona.

– Nie radzę – ciągnął Joseph. – W rzece są aligatory, węże i mnóstwo innego plugastwa.

Dalsza część drogi przebiegła nam w zupełnej ciszy.

Widok zielono-niebieskiej rzeki znacznie poprawił nam humor. Wysiadłem z samochodu i podszedłem do brzegu. Wpatrywałem się w leniwie przelewające się masy wody, znikające za horyzontem. Nieliczna roślinność tuliła się do życiodajnej cieczy, czerpiąc z niej siły potrzebne do przetrwania w tak suchym klimacie. Spojrzałem za siebie. Joseph razem z Mobasą właśnie kończyli podłączać samochodowy kompresor do niewielkiego pakunku, który po chwili

przemienił się w duży gumowy ponton. Po kilkunastu minutach cała nasza czwórka siedziała w nowym środku transportu, a niewielki silniczek spalinowy popychał nas w górę rzeki. Słońce było już w zenicie. Nieliczne drzewa rzucały niewielki cień. Monotonia krajobrazu zaczęła działać na mnie usypiająco. Ułożyłem się wygodnie. Nawet nie wiem, kiedy zamknąłem oczy...

Gwałtowne szarpanie wyrwało mnie z letargu. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem twarz mojej żony w czerwono-szarej poświacie. Zapadał już zmrok.

– Paweł. Obudź się. Już jesteś na miejscu. Słyszysz?

Podniosłem głowę. Kilkanaście prawie nagich postaci przyglądało nam się ciekawie. Ich twarze były pomalowane na białą, a na ciałach można było dostrzec dziwne wzory. Mobasa starał się wykorzystywać do porozumienia się z tubylcami swoje zdolności lingwistyczne, pomagając sobie nerwową gestykulacją. Po kilku minutach takiej konwersacji podszedł do nas i powiedział łamaną polszczyzną:

– Oni przyjaciel. My przyjaciel. Wódz prosi. Jedzenie – poklepał się po brzuchu.

– Widać szef wioski zaprasza nas na kolację – wyjaśnił milczący dotąd Joseph. – Powiedz mu, że przyjmujemy zaproszenie. Mamy dla nich podarunki.

– Bantu lubić podarunki – błysnął białymi zębami nasz tłumacz i zaczął rozpakowywać torby podróżne.

Tubylcy, obwieszeni koralami, ochoczo wracali do wioski, niosąc cały nasz dobytek na plecach. Patrzyłem z zaciekawieniem, jak lekko się poruszają pośród bujnej roślinności. Las rzeczywiście gęstniał z każdą chwilą, stawał się bardziej dziki i nieprzyjazny. Odgłosy dzikich zwierząt nasilały się. Zacząłem zdawać sobie sprawę z faktu, że to właśnie jest ich dom, a my jesteśmy tylko intruzami. Magda myślała chyba tak samo, bo poczułem mocniejszy uścisk dłoni. Bała się. Nagle las rozstał się i weszliśmy na niewielką polanę, pokrytą zielonymi szalasami. Na środku placu było rozpalone ogromne ognisko, wokół którego skupiało się życie tego pierwotnego ludu. Nasz widok wywołał wielkie poruszenie w wiosce. Murzyni oblegli nas wkoło. Dotykali skóry, włosów, ubrań, głośno kome-

tując nasze przybycie w nieznanym dla mnie języku. W pewnym momencie rozległ się donośny głos bębna. Tubylcy ucichli i rozpierchli się w popłochu. W blasku ogniska zobaczyłem człowieka ubranego w skórę lwa. Jego atrybutem była wielka rzeźbiona maska z wyraźnymi kłami, symbolem władzy i mocy. To musiał być szaman. Stał nieruchomo przed nami, dotykając kościanego wisiora zawieszzonego na szyi. Ta cisza nie wróżyła nic dobrego. Joseph wystąpił do przodu i podniósł prawą dłoń. Krzyknął kilka obcych słów i położył przed szamanem właśnie co ściągnięty z ręki zegarek. Spojrzałem pytająco na Mobasę, który w odpowiedzi wolno przesunął się w moim kierunku.

– Joseph dać prezent. Bantu wziąć, my przyjaciel. Nie wziąć, wróg – szepnął.

Z niepokojem czekaliśmy na reakcję czarownika. Człowiek-lew przyglądał się połyskującemu podarkowi. Fosforyzujące wskazówki zegarka emitowały słabe zielone światło, które dopełniało aury niezwykłości tego daru. Szaman pochylił się, ostrożnie podniósł czasomierz i z widocznym zadowoleniem założył go sobie na nadgarstek. Byliśmy uratowani. Mieszkańcy wioski na powrót zaczęli wyrwać sobie nasze rzeczy. Kątem oka zobaczyłem, że Joseph i Mobasa znikają razem z czarownikiem w jednym z szałasów, jednak nie wzbudziło to u mnie niepokoju. Bantu okazali się bardzo gościnni. Posadzili nas na honorowym miejscu przy ognisku, a sami rozsiedli się obok w małych grupkach. Byłem lekko zdezorientowany. Byliśmy u celu podróży. Nasze marzenia miały szansę na spełnienie.

– Boisz się? – spytałem cicho Magdę.

– Trochę. Czuję się, jakby to był tylko sen – odpowiedziała.

Przed nami pojawiła się misa pełna różowego mięsa. Jeden z Murzynów gestem zapraszał nas do spróbowania tego specjału.

Z wahaniem wziąłem mały kawałek do ust. Mięso było dość twarde, o dziwnym smaku, ale głód rozwiał dalsze wątpliwości. Wkrótce sięgnąłem po następny, podając część porcji żonie.

– Smakuje? – usłyszałem nagle za plecami głos Josepha.

– Tak. Nawet niezłe – odparłem, starając się zachować fason.

– To dobrze. To tylko pieczona małpa. Na deser będą duszone pędraki. To wielki przysmak w tym rejonie.

Czułem, jak żołądek odmawia mi posłuszeństwa.

– Co powiedział szaman? – z niepokojem zapytała Magda.

– Zgodził się wam pomóc. Znajdzie zbląkane dusze i sprowadzi je do waszych ciał. Odzyskacie wewnętrzną harmonię i uwolnicie się od wszelkich dolegliwości. Ale musicie mu całkowicie zaufać. Zgadzacie się?

– Tak – krzyknęliśmy prawie równocześnie z żoną.

– Szaman kazał wam wejść do tego dużego szałas – mówił dalej Joseph – wcześniej jednak musicie pozbyć się wszystkich rzeczy, które należą do materialnego świata. Musicie być nago. Oboje. To będzie podróż do wnętrza duszy.

Spojrzałem na Magdę. W jej oczach wyczytałem wielką determinację. Była gotowa na wszystko. W pośpiechu zrzuciliśmy ubrania i weszliśmy do środka chaty. Blask pochodni odbijał się w wypolerowanym kawałku metalu, na którym stały dwie miseczki z ciemnym napojem. Człowiek-lew gestem kazał nam usiąść i podał naczynia, zachęcając do picia. Cierpki smak napoju był niczym w porównaniu z celem, który chcieliśmy osiągnąć. Miarowy rytm afrykańskich bębnów był sygnałem do rozpoczęcia rytuału oczyszczenia. Ten odgłos rósł z każdą chwilą, zdawał się rozsadzać moją głowę. Postać szamana powoli rozpływała się w półmroku. Smak rozkoszy zaczął wypełniać moje ciało. Czułem się jak niezwykły bóg, władca świata. Pan wszystkich stworzeń na ziemi. Najwyższy, najmądrzejszy, naj... Poczulem ogromny ból w kroczu. Resztę świadomości przykryła ciemność.

Gdy się ocknąłem, było już widno. Staralem się podnieść, ale nagły ból zniweczył przez chwilę moje zamiary. Spojrzałem na moje genitalia. Były posmarowane jakąś kleistą maścią. Na ziemi dostrzegłem brunatne ślady krwi.

– Co się stało? Gdzie jest Magda?

– Jestem tutaj – cicho powiedziała moja żona. – Wszystko w porządku, ale głowa mi pęka. Chyba mi niedobrze.

– Leż spokojnie. Nic ci nie będzie – usłyszałem spokojny głos Josepha.

– Ale co się stało?!

– Szaman odprawił swoje czary. Domyślam się, że dostaliście

do wypicia jakiejś ziola halucynogenne. Dlatego zapewne nic nie pamiętasz.

– Ja też nie – jęknęła Magda.

– A mój penis?

– W tradycji plemienia Bantu, żeby mieć dzieci, trzeba być dojrzałym mężczyzną. A dorosły, zdolny do rozmnażania mężczyzna musi być obrzezany. Widocznie szaman uznał, że to była jedna z przyczyn uniemożliwiających zapłodnienie twojej żony.

– O... obrzezany? – wystękałem.

– Zagoi się. Na świecie żyje z tym kilkaset milionów ludzi – zapewnił duchowny.

Nade mną ukazała się czarna głowa Mobasy.

– Ty zdrowy? Magda zdrowy? Dobrze, dobrze?

– Bardzo dobrze – odpowiedział Joseph – odpoczniemy tutaj jeszcze dwa dni i wracamy do cywilizacji.

– Chwała Bogu – rzuciłem cicho, czując, że oddaję się w objęcia Morfeusza.



Powrót do kraju zajął nam jeszcze cały tydzień. Odchorowałem początkowo tę eskapadę, ale zauważyłem, że czary szamana zaczęły odnosić skutek. Po miesiącu intensywnego współżycia z żoną test ciążowy nieoczekiwanie dał pozytywny wynik. Nasza euforia z tego powodu nie miała granic. Magda wypiękniała, rozkwitła.

Z każdym miesiącem nasze życie zyskiwało na wartości. Zaczęliśmy coraz bardziej skupiać się na dacie rozwiązania. Mała istota w brzuchu Magdy niecierpliwiła się coraz bardziej, zgłaszając chęć przyjścia na świat.

W końcu nadszedł ten upragniony dzień. Stałem z boku łóżka szpitalnego i trzymałem żonę za rękę. To była już druga godzina porodu.

– Rozwarcie na pięć palców. Już widać główkę. Proszę przec. Trzy. Dwa. Jeden. Teraz!

– Aaaa... – zawyla z bólu Magda – już nie mogę.